

„Indian Summer” – Festyn Archeologiczny w Biskupinie



Indiańska wioska w biskupińskim rezerwacie. Fot. D. Piotrowska

Motto tegorocznej edycji biskupińskiego Festynu Archeologicznego wielu wydawało się zbyt wydumane, rozlegały się głosy, że organizatorzy chyba nie widzą bogactwa kultury i tradycji rodzimej Europy i szukają sensacji za oceanem. Przyznam, iż z początku sam nie należałem do entuzjastów tego pomysłu i z pewnym niepokojem oczekiwałem rozwoju wydarzeń, ale czas płynął i wiosną przygotowania były w pełnym toku. Kluczem do zapewnienia większej atrakcyjności imprezy miało być ściągnięcie z rezerwatów w USA rdzennych Amerykanów, niefortunnie – według licznych opinii – zwanych Indianami, o czym zresztą w Polsce prawie każdy wie. Pomocna w wielu kwestiach okazała się Ambasada USA w Warszawie, która ostatecznie sfinansowała przyłot grupy Indian do Polski. Niezwykle pomocni w całości przygotowań a następnie realizacji zamierzenia okazali się członkowie Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian. O ich działalności i poświę-

czeniu problematyce indiańskiej jeszcze wspomnimy.

Termin Festynu – 20–28 września, a więc czwarty, a nie jak zwykle trzeci tydzień miesiąca, również nasuwał wątpliwości, czy aby to nie będzie działo się za późno, przecież złota jesień może przeistoczyć się w szarugi i ziąb zwyczajnie odstręczający chętnych od spędzania czasu na świeżym powietrzu. Ostatnie dni przed uroczystym otwarciem wypełnione były gorączkowymi pracami w rezerwacie i montażem w pawilonie muzealnym wystawy „Świat Indian”, będącej głównie dziełem Anny Grossman, przy współudziale, w tworzeniu koncepcji i scenariusza, Janusza Wołoszyna z Uniwersytetu Warszawskiego. Ekspozycji tej warto poświęcić parę słów, gdyż pierwotny jej zamysł zakładał wypożyczenie zabytków z Ethnographische Museum w Berlinie, na co strona polska bardzo liczyła, lecz ostatecznie eksponaty pozyskane zostały z krajowych instytucji – Państwowego Muzeum Etnograficznego



Wystawa „Świat Indian” w pawilonie muzealnym Muzeum Archeologicznego w Biskupinie.
Fot. M. Kazik



w Warszawie, Muzeum Etnograficznego w Krakowie, Muzeum Archeologicznego w Poznaniu i Muzeum Instrumentów – Oddziału Muzeum Narodowego w tymże mieście, oraz z Muzeum Sath-Okh'a w Wymysłowie koło Tucholi.

Wystawa ukazuje w formie skondensowanej najciekawsze zjawiska kultury materialnej Indian północnoamerykańskich – poza strojami, wśród których uwagę należy zwró-

cić na strój dziewczyny przechodzącej inicjację – wykonany ze skóry jelenia i obsyty miniaturowymi dzwonekami – prezentowane są zdobne nakrycia głowy, antropomorficzne naczynia gliniane Indian Pueblo i Hopi, wyroby plecionkarskie, broń i przedmioty codziennego użytku, np. misternie rzeźbiona łyżka. W sferę duchową wprowadzają nas lalki katchina, którymi szamani posługiwali się podczas ceremonii łączenia z istotami boskimi i duchami przodków. Lalki dzieliły się na dobre i złe, a pożądaną umiejętnością szamana było rozpoznanie, która jest właściwa. Niezwykle instruktywne i poglądowe są plansze z informacjami, w jaki sposób Paleoindianie dostali się do Ameryki z Syberii przez cieśninę Beringa, jak następnie podzielili się na setki plemion zajmując różnorodne regiony środowiska naturalnego: rolnicy obszary południowe i południowo-zachodnie, myśliwi rozległe prairie, zbieracze, rybacy i myśliwi Góry Skaliste, wschodnie wybrzeże oraz leśne kompleksy północnego wschodu.

Część wystawy poświęcona jest Sath-Okh'owi, patronowi Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian, synowi Polki zesłanej na Sybir, która przez cieśninę Beringa uciekła do Kanady i tamże poślubiła Wysokiego Orła, wodza plemienia Shawanne. Matka Sath-Okh'a, Biała Chmura, wróciła z synem do kraju, gdzie on przybrał jej nazwisko i odtąd

Taniec Pow-Wow
w wykonaniu
zespołu
Huu-Ska Luta
z Torunia.
Fot. D. Piotrowska



pisał się również jako Stanisław Supłatowicz. Sat-Okh walczył dzielnie w AK, po wojnie osiadł i założył rodzinę w Gdańsku. Pracując w Polskich Liniach Oceanicznych miał częste okazje do odwiedzania kraju swego ojca, skąd przywoził rozliczne przedmioty związane z życiem Indian. W Polsce stał się dobrym duchem i opiekunem dynamicznie rozwijającego się od połowy lat 70. XX wieku ruchu indianistycznego. Wszyscy oczekiwali go w Biskupinie, niestety, trzeciego lipca udał się do krainy wiecznych łowów, lecz nie przestał czuwać nad przyjaciółmi, sympatykami i biskupińskim „Indian Summer”.

Zanim zabrzmiały w rezerwacie indiańskie bębny, cztery dni wcześniej, 16 września w Bydgoszczy miała miejsce kujawsko-pomorska premiera „Starej Baśni” Jerzego Hoffmana, kręconej przecież w plenerach Biskupina i paru jeszcze pałuckich miejscowości. Dwór Popiela wciąż stoi na półwyspie jeziora Biskupińskiego i co poniekórym wydaje się jakby był statym elementem kompleksu rekonstrukcji, w każdym razie dobrze służy wszelkim imprezom o charakterze popularyzatorsko-dydaktycznym. Reżyser filmu pojawił się w przedostatni dzień festynu z kilkoma członkami ekipy, aby ucieszyć swoich fanów i podziękować zarówno pracownikom rezerwatu biskupińskiego, którzy wzniesli Dwór Popiela, Zagrodę Wisza i Mysią Wieżę, jak i mieszkańcom Biskupina i okolic zaangażowanym podczas realizacji filmu jako pomoc techniczna bądź też jako statyści i aktorzy drugiego planu.



Tłumy zwiedzających na półwyspie biskupińskim. W głębi indiańskie tipi.
Fot. D. Piotrowska

Jak nigdy przedtem Festyn w Biskupinie zdominowany został przez realizację swego motto. Na rozległej łące, po prawej stronie chwilę po wejściu do rezerwatu, stanęła wioska indiańska siłami członków i sympatyków Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian. Pomagali

im Indianie „wileńscy” – Algimantas Kensminas (indiańskie imię Crazy Fox) z żoną Aelitą Kensminiene i synem Taurasem kultuwają egzotyczną pasję od kilku lat. W Biskupinie zajmowali się wyprawianiem skór i rzeźbieniem w kości. Kilkanaście charakterystycznych tipi wyraźnie odbijało się na tle jeszcze soczystej, jesiennej zieleni. Na półwyspie biskupińskim cztery tipi postawione w obrębie rekonstrukcji starożytnego grodu w jakże wymowny sposób podkreślały różnicę między odległymi od siebie w czasie i przestrzeni kulturami.

Wyjaśnijmy sobie od razu różnicę między tipi a wigwamem. Tipi użytkowali głównie Indianie Prerii, było przenośne i kryte wyprawionymi skórami jeleni lub bizonów. Łatwo je było zdemontować i włókami przetransportować nawet na znaczne odległości. Wigwam to forma namiotu właściwa mieszkańcom leśnistych obszarów północnego wschodu nowego kontynentu. Na szkielet mocnych, drewnianych żerdzi wkopanych w ziemię kładziono duże płaty kory, zwykle jesionu, i mocno wiązano giętkim tykiem. W środku życie toczyło się w lekkim zagłębieniu, stąd według naszych kryteriów można wigwam określić jako półziemiankę. Gdy plemię zmuszone było zmienić miejsce bytowania, wigwamy pozostawiano na miejscu.

Organizatorom Festynu – a więc jak zwykle Muzeum Archeologicznemu w Biskupinie i Instytutowi Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego – zależało na pokazaniu innych aspektów indiańskiej kultury, aniżeli te lansowane przez kilkadziesiąt lat w hollywoodzkich produkcjach, gdzie Indianin na koniu z dzikim wyciem atakował dylżans albo skalpował bogu ducha winnych białych kolonistów. Filmy w rodzaju „Tańczący z wilkami”, „Człowiek zwany Koniem” i „Powrót Człowieka zwanego Koniem” poczyniły wyłom w wyobrażeniach sporej części anglosaskiego społeczeństwa, lecz w dalszym ciągu wiele stereotypów krzywdzących wizerunek indiańskiej kultury zapelnia głowy przeciętnych zjadaczy chleba. Dzięki staraniom Bartosza Stranza, Polaka żyjącego od dziesięciu lat w rezerwacie w Browning, udało się zaprosić na Festyn gości wyjątkowych. Do Biskupina przyjechali, a raczej przyłecieli, Leon Rattler, „Mały Bóbr” z plemienia Czarnych Stóp, szaman a zarazem wykla-

dowca tradycji indiańskich i najnowszej historii Stanów Zjednoczonych w koledżu w Browning w stanie Montana. Również z Browning pochodzi rodzina Ground (Tsaškoma = Ziemia) – Richard, Elsie i ich dwunastoletnia córka Amarette, natomiast Todd Yellow Cloud pochodzi z plemienia Lakota z rezerwatu Pine Ridge w południowej Dakocie.

Rdzenni Amerykanie nie zawiedli naszych oczekowań. Leon z pomocą polskich „Indian” cierpliwie tłumaczył słowiańskiej młodzieży na czym polega sens indiańskiego życia, jak dba się o rodzinę, pamięć przodków, wszechotaczającą naturę, jak pojmowano godność, honor i powinności wobec współplemieńców. Tłumaczył tajniki obrzędów, znaczenie snów i niezliczonych legend, ceremonię palenia fajki pokoju i narady wojowników. Jego towarzysze zajmowali się pokazami rzemiosła i uczestniczyli w tańcach oraz śpiewach. Wypada w tym miejscu powiedzieć parę słów o naszych rodakach z Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian, gdyż przez cały czas byli niezwykle aktywni, z poświęceniem wykonywali wszystkie czynności i widać było, że to jest ich sposób na życie, nie udawana afekcja i przymus pod maską zwodniczej uprzejmości. Z liderów Ruchu należy wymienić: Aleksandra Danyluka, Marka Nowocienia i Arkadiusza J. Kalinowskiego, lecz pamiętajmy, iż stowarzyszenie nie ma ścisłej, hierarchicznej struktury i działa raczej na zasadzie organizacji w luźny sposób grupującej różnego rodzaju kluby, bractwa i zespoły.

A propos zespołów – Huu-Ska Luta tworzy trzynaście osób z Torunia, w tym czteroosobowa rodzina Lipeczkich. Huu-Ska Luta, czyli Czerwone Leginsy w języku Indian Lakota, tańczą różne rodzaje tańców ceremonialnych, w tym efektowny w formie, lecz głęboko znaczeniowy Pow Wow, prezentowany codziennie na festynie, poza tym taniec Niedźwiedzia oraz Małego i Dużego. Akompaniuje im Maka-Sapa, czyli Czama Ziemia, w języku Lakotów określenie na znajdujący przez nich okazjonalnie węgiel, zespół *no-men omen* ze Śląska, opierający grę głównie na bębnach z towarzyszeniem śpiewu. Symbolika śpiewu i tańca indiańskiego jest zagadnieniem złożonym i tak jak w wielu kulturach pozaeuropejskich wymaga znajomości historii i tradycji danego plemienia lub szcze-